GONIEC KRAKOWSKI 50 hal.

Redakcya i administr.: Kraków, Dunajewskiego 7, Telefon Nr. 2502.
Biuro miastowe administracyi: Kraków, ulica Karmelicka Nr. 16.

Prenumerata w Krakowie: miesięcznie K. 13·— Z odnoszeniem do domu oraz na prowincyi miesięcznie K. 15·— Rękopisów redakcya nie zwraca.

Rok II. Kraków, Wtorek 19 sierpnia 1919. Nr. 223.

Dalsze postępy naszych wojsk na froncie litewsko-białoruskim i wołyńskim.

Warszawa. (PAT). Komunikat sztabu generalnego wojsk polskich z dnia 17 sierpnia:

Front litewsko-białoruski: Nieprzyjaciel koncentruje w dalszym ciągu rozbite wojska w rejonie Borusowa i Bobrujska, umacniając równocześnie te odcinki świeżo nadchodzącymi posiłkami. Na lewem skrzydle atakującego frontu zajęły nasze oddziały Bucław, Dołbinów i Kraj. W kierunku na Borusowę dotarły nasze straże przednie do Ziembina i Zarzecza. Na odcinku Łunińca bez zmiany. Zły stan dróg i ciągłe deszcze utrudniają ruchy naszych wojsk.

Front wołyński: Pod naporem naszych silnych oddziałów wywiadowczych bolszewicy wycofali się z Czernichowa i Michałkowic (nad Horyniem na północ od Ostroga). Na północny wschód od Równa nasi strzelcy dotarli do rzeki Słucz, wziąwszy Beteżnę. W okolicy Stepania, w lasach około Siotolina i Trodeńca wojska nasze rozbrajają bandy bolszewickie.

Front galicyjski: Nad Zbruczem i dalej na północny wschód aż do Ostroga spokój.

W zastępstwie szefa sztabu generalnego
Haller, pułk.

Zamordowanie brata min. apr. Minkiewicza.

Lwów. (Tel. wł.). „Wiek Nowy" przynosi **wstrząsające szczegóły mordu dokonanego przez bandy Ukraińców galicyjskich na p. Feliksie Minkiewiczu, bracie min. apr. oraz jego matce 90-letniej staruszce w miejscowości w Łyczowku.**

Sojusz Polski z Rumunią i Ukrainą wschodnią!

Lwów. (tel. wł.) „Gaz. por." donosi z Dubna: Po 20-tym sierpniu rozpoczynają się pod egidą Rumunii **pertraktacye na temat sojuszu Polski z Ukrainą wschodnią i Rumunią.** Miejscem rokowań **będzie prawdopodobnie Bukareszt.**

Groźne rozruchy w Hiszpanii.

Obicie prezydenta ministrów.

Berlin. (Tel. wł.) (x). Depesze z Hiszpanii podają, że przyszło tam do **groźnych zaburzeń.** Powodem była okoliczność, że sąd wojenny skazał na śmierć robotnika, który w obronie własnej zabił atakującego go żołnierza. **Do bardzo krwawych zajść przyszło zwłaszcza w Sewilli, gdzie nawet obito prezydenta ministrów p. Maurę. W całej Hiszpanii panuje nadzwyczajne wzburzenie,** a w różnych punktach państwa przyszło do demonstracyi.

Komisarz żywnościowy amerykański w Krakowie

Przyjazd pp. Paderewskich. — Burzliwe owacye na ulicach. — Hołd dzieci dla H. Hoovera w parku dra Jordana.

Kraków, 18 sierpnia.

Przybył do Krakowa mąż opatrznościowy, „dobry wujaszek z Ameryki", ku któremu zwrócone są oczy ludności całej Polski, przechodzącej przesilenie aprowizacyjne. Oczekiwano go niecierpliwie, to też nic dziwnego, że

Powitanie na dworcu.

zgromadziło tłumy publiczności i przemieniło się z burzliwą manifestacyę i owacye. Razem z Herbertem Hooverem, którego przywitały na dworcu delegacye Stowarzyszeń i instytucyi filantropijnych, Towarzystw opieki nad dziećmi pod przew. prof. Godlewskiej, przedstawiciele Uniwersytetu Jagiellońskiego, delegat Biesiadecki, generałowie Haller, Symon i Gąsiecki z korpusem oficerskim, francuski generał Moreau z oficerami. **Razem z nim witano prezydenta ministrów Paderewskiego,** który przybył do Krakowa, **by pożegnać uroczyście p. Hoovera przy jeździe z Polski.** Przy dźwiękach kapel, grających na przemian hymn narodowy amerykański i pieśni polskiego narodowe, p. Hoover odjechał do Grand Hotelu. Między godziną 10 a 12 komisarz żywnościowy odbył konferencyę z prezydentem ministrów Paderewskim, ministrami Bilińskim, Seydą i inżynierem Diamandem.

Uroczyste posiedzenie Rady miejskiej

O godzinie 12-tej w południe w przystrojonej w chorągwie o barwach polskich i gwiaździste sztandary Stanów Zjednoczonych sali, odbyło się uroczyste posiedzenie rady miejskiej, na które zjawili się w komplecie radni miejscy, dostojnicy Kościoła oraz przedstawiciele władz cywilnych i wojskowych i przedstawiciele prasy. Skoro pan Hoover w towarzystwie Paderewskiego i swej świty, składającej się z pp. pułkownika Logana, Barbera, Backera i Taafta (syna byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych), polskiego posła w Ameryce ks. Lubomirskiego i hr. Ksawerego Pusłowskiego ukazał się na sali, **przyjął go huragan hucznych oklasków.** Prezydent miasta Federowicz wygłosił przemówienie, w którem zaznaczył, że pan Hoover nie przybywa do nas obcy, albowiem poprzedziła go „największa i najpromienniejsza", jaką człowiek nowożytny zdobyć sobie może — sława przyjaciela i dobroczyńcy, dziś o tyle więcej i sroższej, niż kiedykolwiek cierpiącej ludzkości. Setki tysięcy współobywateli polskich dzięki wielkoduszności Stanów Zjednoczonych i mądrych zarządzeń pana Hoovera uzyskało możność przeżycia najcięższych czasów, przedewszystkiem jednak należy się wdzięczność za uratowanie od głodu wielotysięcznych zastępów naszych polskich dzieci. Dalej prezydent Federowicz zaznaczył, że wie o tem, że **misyą pana Hoovera jest zadzierzgnięcie między Polską a Stanami Zjednoczonemi silnych węzłów gospodarczych i zapewnił go, że każde słowo o tej wielkiej misyi** znajduje w Polakach **najgorętszych wyznawców, że każde podpisza z radością.**

W odpowiedzi Hoover oświadczył, że wyrażone mu słowa życzliwości uważa za symbol. Naród amerykański, który ma wobec Polski dług zaciągnięty wobec Kościuszki i Puławskiego w przyszłości dołoży wszelkich starań, aby w tych krytycznych czasach przesileń ekonomicznych Ameryka nadal spieszyła Polsce z pomocą. Do Krakowa przybył z serdecznem uczuciem jako do miasta, gdzie złożone są prochy polskiego a zarazem amerykańskiego bohatera wolności Kościuszki.

Górnicy Śląska Cieszyńskiego u Hoovera.

Po posiedzeniu rady miejskiej p. Hoover przyjął delegacyę komitetu Opieki nad dziećmi, następnie przedstawicieli Górników Śląska Cieszyńskiego. Pierwszy z górników z Karwiny z Strzyńca odmalował w swem przemówieniu położenie górników polskich na Śląsku. Wojna zniszczyła wiele, osłabiła siłę robotnika polskiego, który nie może pracować jak poprzednio, zwłaszcza zaś robotnika polskiego pod jarzmem czeskiem. Pierwszym warunkiem pracy robotnika polskiego na Śląsku jest wyzwolenie go z pod okupacyi czeskiej.

Drugi mówca, górnik z Trzyńca, podziękowawszy za pomoc ofiarowaną dzieciom Śląskim, oświadczył również, że przyłączenie do Polski przyczyni się do wzmożenia produkcyi w górnictwie na Śląsku cieszyńskim. Następnie imieniem gminy wyznaniowej żydowskiej i żydowskiego Komit. Opieki nad dziećmi przemówił p. Rafał Landau.

Hoover do robotników krakowskich

Odpowiadając na przemówienie krakowskiej Rady Robotniczej p. Januszewskiego p. Hoover rzekł:

„Po 1 listopada 1918 r. ludzkość przebyła największy kryzys głodowy w dziejach świata. Udało się go przejść bez większych strat. Z otuchą można patrzeć w przyszłość, o ile żniwa dopiszą. Dowóz do Polski utrudnia wązka szyja, jaką jest Gdańsk. Po podpisaniu traktatu pokojowego — obecnie już będzie **możliwe transportowanie towarów do Polski także innemi drogami.** Przy ułatwionym przewozić skończy się wyzysk lichwiarzy, jednak liczyć się z tem należy, że jeszcze przez 2—3 lat będą poważne braki w całym świecie. W dowozie środków żywności są bowiem trudności nietylko lokalne, ale i światowe. Robotnik winien być cierpliwy i o ile możności **zwiększyć produkcyjność swej pracy.**

Po przedstawicielstwie Rady Robotn. p. Hoover przyjął jeszcze cały szereg delegacyi. Rolę tłómacza objął p. Czarnecki, dziennikarz polsko-amerykański.

Hołd dzieci w parku Jordana.

O godz. 4 popoł. Herbert Hoover udał się z Kasyna wojskowego w **towarzystwie premiera Paderewskiego** ulicami Sławkowską, Rnkiem ku błoniom. Po drodze publiczność **urządzała dostojnym gościom serdeczną owacyę.** Do Parku Jordana przybył Herbert Hoover **z iście amerykańską punktualnością** o godz. 4 min. 45. Wysiadłszy z powozu, wszedł w tłum i zbliżył się do kiosku w głównej alei, gdzie zebrane tłumnie dzieci urządziły mu serdeczne powitanie, defilując w szeregach i rzucając wiązanki kwiatów. Po defiladzie gość nasz udał się do pawilonu, gdzie dzieci odmówiły modlitwę na jego intencyę. Przy dźwiękach Warszawianki Herbert Hoover wsiadł do powozu i wraz z Paderewskim odjechał do miasta. Przez cały czas jego pobytu w parku Jordana przygrywała muzyka 8-go pułku ułanów i Hallerczyków, odtwarzając szereg amerykańskich marszów.

Aresztowanie paskarza-milionera.

Lwów. (PAT.). Władze tutejsze **aresztowały wczoraj rzeźnika lwowskiego Antoniego Mokrzyckiego,** który sprzedawał kg mięsa zamiast K 14 po K 18 względnie nawet K 25. W urzędzie zwalczania lichwy zobowiązał on się do przestrzegania cen taryfowych, lecz zobowiązania nie dotrzymał. Postępowanie jego siało zgorszenie wśród innych kupców, którzy nie mając jak on milionowego majątku, przestrzegali przepisów. Mokrzyckiego odstawiono do aresztów sądu karnego.

O odkażenie języka polskiego.

Obowiązkiem każdego Polaka usuwać naleciałości z obcych języków.

Kraków, 17 sierpnia.

Kiedy państwa zaborcze rozdarły zbrodniczo ziemie polskie, jak im się zdawało — na zawsze, wytężyły wszystkie siły w tym kierunku, by co rychlej w rozszarpanych przez siebie częściach Polski stłumić i wyrugować wszystko, coby nieszczęsną Polskę mogło przypominać. Wszystkim nam są znane te ohydne, nikczemne metody, przed któremi nie wahali się zaborcy, by cel swój osiągnąć. Zmierzało do tego masowe i bezwzględne zamykanie polskich szkół, **wprowadzenie w urzędach czy szkołach języka niemieckiego czy rosyjskiego,** rozmyślne fałszowanie historyi polskiej, narzucenie obcego języka w życiu prywatnem czy publicznem a przedewszystkiem dążność do oderwania od kościoła, który w ciężkich chwilach był dla narodu jedyną ostoją. Nie inaczej rzecz miała się i w Galicyi. Wystarczy przypomnieć rzeź galicyjską 46 roku i czas aż do r. 1870 czy choćby ostatnie zakusy arcyksięcia Fryderyka, który wprawdzie okazał się najniedołężniejszym wodzem lecz za to krwawo zaznaczył się w duszach polskiego narodu, zdobywając sobie „nieśmiertelne miano „wieszatiela". Ten to pan miał tę czelność, **dopatrując się w nas jako w zdrajcach przyczyny poniesionych klęsk przeforsować oburzający cały naród rozkaz,** mocą którego w urzędach a zwłaszcza na kolei wprowadzono język niemiecki obowiązującej bezwzględnie wszystkich funkcyonaryuszy, będących w służbie. Wedle brzmienia owego niezapomnianego „ukazu" konduktor naprzykład obowązany był w służbie rozmawiać z przełożonym swoim Polakiem w języku niemieckim. **Rozkaz ten pojawił się jakby na ironię bezpośrednio po bitwie pod Gorlicami, gdzie pułki wyłącznie niemal polskie okryły się nieśmiertelną chwałą i wywalczyły zwycięstwo, w skutkach swych wówczas dla państw centralnych bardzo doniosłe. Zaiste było to szczytem bezczelności.** Austryacki najwyższy wódz **z wdzięczności pokazał nam pięść,** którą palnął nas między oczy, lecz wprost przeciwny od spodziewanego osiągnął skutek, **bo oto otworzyły nam się nareszcie oczy! Z pośród całego morza słodkich słówek,** któremi usiłowano nas upoić, zaczęliśmy wyłuskiwać fakty, zbierać je, aż przyszliśmy do przekonania, że **rząd austryacki to wróg nasz nie mniejszy od innych,** tem jednak od nich różny, **a** równocześnie tem niebezpieczniejszy, że **przywdział maskę, pod którą kryła się jadowita żmija, czyhająca tylko na sposobność, by nas śmiertelnie ukąsić.**

Tendencya zrusyfikowania nas lub zniemczenia odbiła się oczywiście bardzo ujemnie na naszym języku. Przysłuchując się uważnie rozmowie, toczonej w kawiarni, czy na ulicy, w salonie, czy w wieśniaczej chacie, łatwo stwierdzimy, **że co drugi lub trzeci wyraz to spolszczony wyraz niemiecki, lub żywcem do języka polskiego przejęty.** Wystarczy posłuchać dyalogu żołnierza czy oficera, budnika kolejowego czy urzędnika, aby stwierdzić, że roi się tam od wyrazów niemieckich. Słyszy się więc: Struzok (strohsak), kopzpolstra, erganzung, komendant, weichy (zwrotnice), bremza, sznellzug, personka, zugsfuehrer i t. d.

Wejdzie się do magazynu krawieckiego, szewskiego, do fabryki, odlewarni, czy do sklepu, uderza nas na każdym kroku niemiło dotykający ucho dźwięk obcego wyrazu. Dużo tych obcych językowych naleciałości słyszy się zwłaszcza wśród sfer robotniczych i wieśniaczych, a przedewszystkiem u tych, którzy po kilkuletniej służbie wojskowej wrócili do domów. Parobczak wiejski uważa to sobie za dobry ton popisywanie się łamaną niemczyzną przed dziewczętami, parobkami, którzy „nie dostąpili tego zaszczytu" służenia w austryackiem wojsku.

Grzeszyła pod tym względem zawsze niemało niestety i inteligencya, która — jakże często! — **pragnęła imponować znajomością niemieckiego języka** i w rozmowę z przyjemnością wplatała niemieckie słowa. Ileż to razy, chcąc coś dobitnie wyrazić i podkreślić, posługuje się jeszcze do dzisiaj wyrazami niemieckimi, nie bacząc, jaką przez to szkodę przynosi polskiemu językowi. Całe niemieckie zwroty i słowa wkradły się tą drogą do języka polskiego, ucierały się, przyjmowały, a nawet przenikały do szkół, do czytanek i książek. Weźmy jakąkolwiek książkę do ręki i przeglądnijmy ją skrupulatnie, a z przerażeniem stwierdzimy, że roi się tam od niemieckich wyrazów. Z ręką na sercu musimy sobie powiedzieć, widząc te skażenia, jakie język nasz poniósł, **żeśmy nie dość pilnie czuwali nad jego czystością.** Język doznał skażenia w zastraszających rozmiarach. A tak osłuchaliśmy się z tymi niemieckimi czy rosyjskimi wyrazami, tak się do nich przyzwyczailiśmy, że dzisiaj one nas już nie rażą, że zdaje nam się, jakobyśmy ich nie mogli zastąpić polskimi wyrazami. Istotnie przyznać trzeba, że tak się one u nas zakorzeniły, że wielkiego trzeba będzie zadać sobie trudu i wielkiej pracy, by język nasz z naleciałości niemieckich czy rosyjskich oczyścić. Jakkolwiek będzie to praca bardzo ciężka, to jednak uczynić to jest naszym obowiązkiem. Ksiądz z ambony, nauczyciel w szkole, urzędnik w [illegible], oficer w koszarach winni podwładnych swoich pouczyć, że obowiązkiem każdego Polaka jest wytężyć całą energię i skupić całą wolę, by naleciałości z języka polskiego usunąć. Lecz niedość byłoby pouczać! Ludziom nieoświeconym należałoby poddawać polskie wyrazy, którymi można zastąpić niemieckie czy rosyjskie i uzbroiwszy się w cierpliwość tak długo je powtarzać i w pamięć wtłaczać, aż się osiągnie rezultat.

Zabierzmy się więc do tej znojnej, lecz pięknej pracy, odkażenia naszego języka, i spełnijmy z całą ochotą i skrupulatnością patryotyczny obowiązek, jaki na nas ciąży. J. P.

Rozczarowany Francuz.

Więzienie w Moskwie. — Chłop rosyjski zdemoralizowany brakiem religii Bolszewizm nową formą caryzmu. — Tragiczny zgon dwóch Polaków

Kraków, 16 sierpnia.

Korespondent pism paryskich, Ludwik Naudau, — który zamieszcza teraz w paryskim „Temps" ciekawe swe wspomnienia z bolszewickiego więzienia w Moskwie, należał do najgorętszych zwolenników rosyjskiego społeczeństwa, dziś jednak jest gorzko rozczarowany. — Ludwik Naudau zapoznał się z rosyjskimi stosunkami jeszcze w czasie wojny japońskiej, gdy towarzyszył armii rosyjskiej w nieszczęśliwej kampanii na dalekim wschodzie. Niepowodzenie to uważano wówczas za chwilowe. Francya zwłaszcza wierzyła mocno, że po zreformowaniu armii Rosya, wzbogacona doświadczeniem, stanie się znów niezwyciężoną. Naudau należał do tych, którzy służyli całem sercem sprawie francusko-rosyjskiego porozumienia, przebywał stale w Petersburgu, jako redaktor francuskiego dziennika, nauczył się biegle po rosyjsku i nawiązał liczne stosunki z miejscową inteligencyą. Na tem stanowisku zaskoczyła go rewolucya, a potem przyszło więzienie.

W ciasnych, niechlujnych celach rosyjskich kaźni, na zapluskwionej pryczy, gdzie sen oczu odbiega, mógł dopiero kulturalny Francuz ocenić niezgłębioną przepaść, dzielącą wschodnią od zachodniej kultury, a zwłaszcza zasadniczą odrębność wschodniej i zachodniej psychiki. To też między wierszami opowiadania wymykają mu się co chwila gorzkie uwagi.

„Prawiono nam tyle — pisze — o ewangelicznej dobroci mużyka, lecz fakta zadały kłam temu złudzeniu; być może, że chłop rosyjski jest dobry i litościwy, skoro pozostaje pod wpływem religii, lecz gdy mu się ją odbierze, staje się najdzikszym i najokrutniejszym z ludzi".

„Nikt na zachodzie nie zdaje sobie sprawy — mówi na innem miejscu, — jak różni się dusza wschodu od pojęć zachodnich, jak głęboko jest przewrotną i obłudną. Bolszewizm nie upadnie tak rychło, gdyż odpowiada on niewolniczej psychice rosyjskiego ludu, a jest to tylko caryzm naodwrót, więcej jeszcze bezwzględny i despotyczny, niż władze starego systemu.

W ostatnich ustępach swych wspomnień więziennych opisuje korespondent francuski tragiczną śmierć dwóch polskich współjeńców. Jeden z nich, nazwiskiem Julski, człowiek chory, połamany od reumatyzmu, był przedmiotem szczególnej niechęci bolszewickich siepaczy, którzy starali się usilnie znaleźć jakieś dowody jego mniemanej winy. Widmo śmierci krążyło niejako dokoła tego skazania, aż oto pewnego dnia — pisze Naudau, — za kratami wspólnej celi naszej złowieszczy głos strażnika, wołając jedno tylko nazwisko — Julski! — rozległ się.

Julski zbladł, a my wszyscy zawołaliśmy odruchowo:

— On jest chory, Julski jest chory!

— To i cóż że chory, chodź Julski, wóz czeka już na ciebie.

Skazaniec wyszedł, a we dwa dni później wyczytaliśmy w „Izwiestiu" krótką wzmiankę, że Julski, biały gwardzista i agent zagranicznego imperyalizmu, został rozstrzelany.

Drugą ofiarą bolszewickiego systemu był oficer, Polak, którego nazwiska Naudau nie podaje. Zapadł na zapalenie płuc, a zostawiony bez pomocy lekarskiej, bez lekarstwa, bez żadnych starań, konał kilka dni, rzężąc straszliwie i dusząc się, w obecności swych jeńców, których bezradne współczucie nie mogło mu przynieść żadnej ulgi. Naprózno upominano się kilka razy u zarządu więziennego o pomoc lekarską, która z urzędu należy się więźniowi; pozwolono mu skonać w męce, nie troszcząc się bynajmniej o jego los. Naudeau wydostał się ostatecznie z moskiewskiego więzienia i powrócił do kraju, gdzie rozpamiętuje obecnie swe rosyjskie przygody. Należy on już w każdym razie do kategoryi trzeźwo patrzących, wolnych od bezkrytycznego optymizmu, cechującego w stosunku do Rosyi polityków zachodu.

MIGAWKI KRAKOWSKIE.

Premiera.

Łapie mnie wczoraj na plantach pan Piotr.

— Pani! taże to woła o pomstę do nieba! Co oni z nami nie wyrabiają, skandal! Człowiek wali ciężkie pieniądze niewiadomo na co i po co. To przecież warto w gazetach opisać!

— Wyobraź pani sobie, kupiłem tu kiedyś bilety na premierę do teatru.

— Nie widzę w tem nic strasznego — przerwałam rozindyczonemu panu Piotrowi.

— Czekaj pani! To dopiero początek. Miałem zajęcie na mieście i z żoną mieliśmy się zejść w teatrze.

— Naturalnie spóźniłem się. Przez cóżby jak nie przez ten nasz kochany tramwaj, który stale bierze na wstrzymanie wtedy, gdy nam się najbardziej spieszy. Myślę sobie jednak, nie pierwszy i nie ostatni raz. Aż tu bileter, tak a tak — mówi panie dobrodzieju, nowe rozporządzenie, kurtyna poszła w górę, wejść nie można. Proszę, przedkładam: „taże tam moja stara głowę mi urwie jak nie przyjdę." Nic nie pomogło. Uparła się bestya, by nie wpuścić i basta. Ano jak nie, to nie. Ale cóż tu robić? Na korytarzu nie mam co robić, palić nie wolno, tak ja na ten sposób, ubieram się z powrotem i prosto jak w dym do Teatralki. W Teatralce, jak to bywa, gadu gadu, to z tym, to z owym jakaś mała kolejka przy bufecie, dość, że gdy wróciłem do teatru kurtyna poszła znowu w górę. Nie pomogły perswazye i tym razem. Dawałem już temu cerberowi dwie, potem cztery korony, ani patrzeć nie chciał. Jakem nie zaklął, jakem się nie zabrał po raz drugi, takem się nie obejrzał aż u Wencla. Wróciłem gdzieś dobrze po północy, ale już nie do teatru tylko wprost do domu, gdzie mi dopiero moja stara urządziła premierę. Pani, co to była za premiera! To nawet Pilarski w Nowościach czegoś podobnego nie pokazał i nie pokaże! Widzi pani te ślady na moim nosie? To ćwiczenia akrobatyczne mojej żony! Ale ja się zemszczę, o zemszczę! Póki życia mego, noga moja w teatrze nie pozostanie.

— Ale przecież sam pan mówił, że to przez tramwaj — usiłowałam bronić teatru.

— Tak, masz pani słuszność — zawołał pan Piotr — przez tramwaj. Niech i tak będzie. Wytoczę dyrekcyi proces o wszystko. O zwrot kosztów primo za bilet teatralny, secundo za trzy „kolejki" w Teatralce, sześć u Wencla, no i za wstęp na tę premierę z podrapanym nosem, co mi moja stara w domu wyczyniła! **Rido.**

PRZY KOMINKU.

Czarne widmo

(Zakończenie z numeru 221).

Pod naciskiem z mej strony otworzono pałac.

Na parterze czuć było stęchliznę i wilgoć, zatem rozlokowaliśmy się na piętrze. Wziąłem sobie dwa pokoje, t. j. pierwszy dla ordynansa i moich bagaży, drugi zaś dla siebie. Umeblowanie pokoju, który zająłem, składało się z ciężkich, mahoniowych mebli, takiegoż okrągłego stołu na środku i paru foteli, wprost zaś drzwi,

— Rozejrzyj się tu; jeszcze nic nie widziałeś — upominał mnie. — Patrz tylko, patrz!

Usłuchałem go i rozglądać się począłem po tej szczególnej sali, umeblowanej na poły po europejsku. Tu i ówdzie wprawdzie leżały poduszki wschodnie, okrągłe, pokryte skórą jaskrawo paskowaną i kapy tureckie i arabskie kobierce. Liczne drzwi zamaskowane były barwnemi portyerami, których nie ważyłbym się uchylić, lecz pozatem wielka nisza ścienna, zastawiona była szafą, pełną książek, na ścianach wisiała cała serya fotografii, zdjętych z greckich antyków. Pośrodku wreszcie duży, masywny stół uginał się pod stosem książek i broszur, wśród których odkryłem ze zdumieniem kilka francuskich miesięczników. Morhange spojrzał wymownie na mnie, ja na niego i nie wiedzieliśmy, co rzec.

— Co myślisz o tem wszystkiem — odezwałem się wreszcie.

— Co myślę? mój biedny przyjacielu, ależ to samo, co ty, to znaczy nie rozumiem nic, nic.

— A twoja erudycya?

— Moja erudycya, jak ją łaskawie nazywasz, spaliła tu na panewce. To pewna tylko, że sala ta jest właściwie grotą, wykutą w skale, nie słyszałem jednak nigdy, aby Tuaregi byli jaskiniowcami: wszystkie powagi naukowe twierdzą stanowczo, że plemię to miało po wsze czasy wstręt do mieszkania w grotach; a przecież jesteśmy w kraju Tuaregów.

Ja tymczasem przystąpiłem do wielkiego stołu, który zajmował środek sali i przeglądać zacząłem leżące na nim papiery.

— Morhange! — rzekłem, zwracając się do mego towarzysza — łacina, ktoś pisze tu pracę po łacinie.

Teraz Morhange przystąpił z kolei do stołu i wziął mi z rąk notatki.

— Studyum o wyspach Gorgony — rzekł po chwili. — Autor stara się udowodnić, że słynna Meduza, która zamiast włosów nosiła wężowe sploty, była Libijską dziewicą, zamieszkałą w tej właśnie okolicy, tu właśnie spotkał ją Perseusz.

— Nie dziwiłbym się, gdyby się i nam ukazało to wężowe widziadło — zauważyłem.

— By obrócić nas w kamień i zrobić z nas ludzkie posągi — skończył Morhange.

Co za niebaczne przeczucie podsunęło nam to porów-

lając się. — Czy wiesz, że Tuaregi to dzikie plemię, do którego należy nasz przewodnik, musieli być kiedyś chrześcijanami, za czasów świętego Augustyna może. Wszystko na to wskazuje. Zauważ tylko, że ich godłem ulubionem jest dotąd krzyż równoramienny. Spotyka się go wszędzie, w alfabecie ich, rysunkach, broni. Krzyżem piętnują sobie czoło i dłoń, krzyż stanowi rękojeść ich szabli i sztyletów. Prócz tego, jak wiadomo, używanie dzwonu w jakiekolwiek formie jest surowo wzbronione u muzułmanów. Tureagi zaś używają dzwonków, zawieszają je na szyi wielbłądów.

Wszystko to są pozostałości nieświadome już dziś, religii, którą wyznawali ich przodkowie. Wiarę tę wydarli im potem Muzułmanie, niszcząc ich pożogą wojen; a było to razem, walka narodowa o wolność, która trwała całe wieki.

Towarzysze proroka wtargnęli na pustynię, by narzucić naukę jego plemionom berberyjskim.

Były to bogate plemiona, posiadały ludne miasta, które zrównano z ziemią. Dotrzeć do ruiny tych miast, zbadać ich gruzy, znaleźć może pewne dowody, iż były chrześcijańskie, to przecież wspaniały cel dla chrześcijańskiego podróżnika.

Rozumiałem go teraz w zupełności. Był to w istocie wspaniały cel dla człowieka, który, jak Morhange, był gorącym chrześcijaninem i uczonym geografem.

Nie dziwiłem się teraz, że się tak łatwo dał nakłonić do tej wyprawy w towarzystwie Tuarega, ja sam też zacząłem się do niej zapalać. Wyruszyliśmy więc nazajutrz.

Zapuściliśmy się w kraj kamienisty, potworną plątaninę czarnych skał, mając dokoła siebie krajobraz tak wymarły, że niemal księżycowy.

Ciekawy był ten nasz pochód.

W pierwszym dniu radziłem się wciąż igiełki magnesowej, mej busoli, lecz po pewnym czasie obliczenia moje splątały mi się całkiem, straciłem świadomość stosunku drogi naszej do miejsc, któreśmy opuścili,, tak, że rad nie rad, zdać się musiałem całkiem na naszego przewodnika.

Pd koniec drugiego dnia znaleźliśmy się u stóp czarnej góry, której poszarpane szczyty piętrzyły się jakie 2000 metrów nad głowami naszemi. Wyglądało to, jak jaki bastyon obronny, jak szczyty zamku feodalnego, odcinające się ostro na tle pomarańczowego nieba. U stóp góry znajdowała się studnia, okolona kępą drzew, a przy studni ko-

Eg-Antuen szedł przodem i wprowadził nas do otworu w skale, gdzie otoczyła nas wnet ciemność. Zakrzesał jednak ognia i podpalił zioła. Z początku dym nas oślepił, poczem zapłonął żywy ogień. Przy świetle tem obaczyłem, jak Morhange bardzo blady, oparł się obu dłońmi o ścianę groty i próbował odczytywać gmatwaninę znaków, wyrytych w skale. Zdawało mi się jednak, że ręce mu drżą.

— Do dyabła! — pomyślałem — czy czuje się równie marnie, jak ja; bo rzeczywiście było mi jakoś dziwnie niedobrze, tak, że nie mogłem dwóch myśli skleić.

Nagle usłyszałem, jak Morhange zwykle tak spokojny, krzyknął gwałtownie, usuwając Eg-Antuena, który siedział u wejścia groty.

— Usuń się na bok; trzeba wpuścić powietrze; co to za dym?

— Powrócił do odczytywania napisu, a potem, jak przez mgłę, słyszałem jego głos.

— Antinea! tak Antinea! ale to wcale nie jest stary napis; świeżo wymalowany żółtą farbą — to jakieś oszustwo; tragiczna mistyfikacya.

Uchwycił się za głowę i zaczął krzyczeć. Krzyk ten raził mnie, zacząłem się więc śmiać zgryźliwym śmieszkiem.

— Czyś oszalał? — krzyknął mi w twarz Morhange, patrząc na mnie rozszerzonemi oczyma. Miałem przytem wrażenie, że mu się język plącze. Nagle pochylił się nad dogasającem ogniskiem; podjął z ziemi niedopaloną łodygę, przyjrzał się jej i wybuchnął niepohamowanym śmiechem.

— Dobre sobie! — mruczał — konopie, h a s z i s z; uwędziłeś nas w tym dymie.

— Dobre sobie — powtórzyłem za nim, śmiejąc się także.

Zanosiliśmy się obaj od śmiechu, nie próbując się wcale hamować. Eg-Antuen wtórował nam cicho, nie wypuszczając z ust swej fajki. Wydawał mi się już teraz widmem człowieka.

— Ja chcę także palić — zawołał nagle Morhange — podaj mi fajkę.

Człowiek widmo spełnił to życzenie.

Morhange wziął fajkę z rąk Eg-Antuena.

— Oho! fajka europejska — rzekł ucieszony.

— Europejska fajka — powtórzyłem z radością.

— I to jeszcze z cyfrą, jakby umyślnie dla mnie — „

cieszył się Morhange — Cyfra M. to znaczy Kapitan Morhange.

— Pułkownik Masson — poprawił z cichym śmieszkiem Eg-Antuen.

Choć byłem całkiem pijany od haszyszu, którym nas ten łotr zanarkotyzował, czułem wybornie, że drwi z nas i że tryumfuje.

— Pułkownik Masson! — powtórzył Morhange — ten od Flattersa — cha, cha! Ten, którego zabił Seger-ben-Szeik.

— W samej rzeczy, to Seger-ben-Szeik zabił tego pułkownika — odpowiedział z niezmąconym spokojem Eg-Antuen.

Zaczęliśmy Morhange i ja przypominać na wyścigi tragiczne dzieje tej potyczki, która wydała się nam w tej chwili ucieszną przygodą; powtarzaliśmy szczegóły wśród wybuchów śmiechu; nigdy z pewnością nie śmialiśmy się tyle i tak mocno, odchodząc prawie od przytomności, której i tak niewiele nam zostało.

— Cha! cha! Pułkownik Masson, pułkownik Flatters; zabito go, aby mu zabrać jego fajkę. Dobry sobie, wyborny żart.

— Olbrzymi Berber uchwycił konia pułkownika — powtarzałem, jak przez mgłę wspomnień.

— Wtedy pułkownik Masson ciął szablą i odrąbał trzy palce Berbera — kończył Morhange.

Eg-Antuen odzyskał tymczasem swą fajkę i trzymał ją lewą ręką. Pochyliliśmy się obaj nad nim. Lecz cóż to? trzyma fajkę dwoma tylko palcami, bo trzech środkowych brakuje mu całkiem. Teraz dopiero zauważyliśmy ten szczegół.

Morhange uderzony tem, wołał z nowym wybuchem śmiechu:

— Więc to ty zabiłeś pułkownika, aby mu zabrać jego fajkę.

— Tak, to ja ciąłem go szablą w głowę i rozpłatałem mu czaszkę — potwierdza Eg-Antuen z uśmiechem zadowolenia. Palił znowu swoją fajkę i znów słyszę tę przeklętą piosnkę z jej idyotycznemi słowami:

„Ale siódma jest chłopcem,
Co utracił oko.“

Lecz cóż to, nie jesteśmy już sami. Grota zaludnia się. Pięciu, sześciu, ośmiu. Zabawna historya. To zapewne ge-

czowała gromadka ludzi z wielbłądami. Eg-Antuen wskazał na nich, mówiąc:

— Ludzie z plemienia Egali.

Było to piękne, rosłe plemię, nigdy nie widziałem tak wysokich, kształtnych mężczyzn. Rozstąpili się, robiąc nam miejsce przy studni, a gdy Eg-Antuen przemówił coś do nich, obrzucili nas wzrokiem, w którym przebijała się jakby trwoga, lecz także i szacunek. Zdziwiony byłem, że odrzucili podarki, które im chciałem ofiarować, unikali mego wzroku.

Skoro odeszli, Eg-Antuen, który zauważył moje zdziwienie, rzekł:

— Patrzyli z szacunkiem na was, skoro im powiedziałem, że wybieracie się na górę geniuszów. Oni się boją geniuszów i nie zostaliby tu nigdy w godzinie wieczornej.

GROTA GENIUSZÓW.

— Więc prowadzisz nas do wzgórza geniuszów? — spytałem.

— Tak jest! — odparł Eg-Antuen — w tej to górze są groty z napisami, które chcieliście widzieć.

— A gdzież jest ta góra?

— Jesteście właśnie przy niej.

— Dlaczegoż nie powiedziałeś nam tego odrazu?

— Bo nie pytaliście mnie o to — odparł Berber tonem, w którym uderzył mnie nieuchwytny odcień zuchwalstwa, sprzecznego z dotychczasowem jego postępowaniem.

Morhange przysłuchiwał się, milcząc, naszej rozmowie.

— Ciekawem będzie — rzekł po chwili — przyjrzyć się zblizka tym geniuszom, i przekonać się naocznie, czy mają istotnie skórę porosłą włosem i twarz na środku piersi, jak mówi o nich Pomponiusz Mele.

— Cicho! — szepnąłem wtedy, kładąc palec na ustach. — Czy słyszysz?

Z łona bazaltowej góry, w mrokach nadchodzącego wieczoru dobywać się poczęły dziwne odgłosy, jakby trzask pękających skał, a po nim długie, przeciągłe jęki, powtarzające się echem w tysiącznych rozpadlinach.

— Geniusze się budzą — zauważył Eg-Antuen, który usiadł na skrzyżowanych nogach, paląc spokojnie fajkę.

— Kraina trwogi — szepnąłem, przypomniawszy sobie niedomówione ostrzeżenia biednego Bu-Dżemy.

— Kraina trwogi! — powtórzył, jak echo, Morhange.

Rozumieliśmy obaj, że ten dziwny, żałosny koncert ma całkiem naturalne uzasadnienie w nagłem oziębieniu nadmiernie rozgrzanych skał, że stanowi takie same zjawisko, jak niegdyś śpiewający posąg Memnona; mimo to jednak nie mogliśmy się obronić uczuciu silnego zdenerwowania. Uczuliśmy się nagle całkiem odgrodzeni od świata, do którego należeliśmy dotychczas i wydani na pastwę groźnej jakiejś zagadce. To też, gdy pierwsze gwiazdy zabłysły na niebie, patrzyliśmy na nie z uczuciem rozbitków, które widzą w nim łącznik z odległymi braćmi, którzy o tejże porze snują się po ulicach ludnych miast europejskich.

— Patrz! plejady — rzekłem do mego towarzysza, ukazując na płonące grupy gwiazd.

W tejże chwili Eg-Antuen począł śpiewać, a raczej mruczeć niskim, gardłowym głosem:

Siedem jest córek nocy
Pod niebios powłoką —
Ale siódma jest chłopcem
Co utracił oko.

Śpiewał tak długo, monotonnie, aż wreszcie śpiew ten począł mnie drażnić, tak, że chwyciłem go za ramiona i potrząsnąłem brutalnie.

— Przestań wyć! gdzie te groty? — spytałem niecierpliwie.

— Tu obok! — odparł Eg-Antuen, wskazując na podnóże skał.

Morhange skoczył na równe nogi z nagłem ożywieniem.

— Prowadź nas! — zawołał.

— Czy nie lepiej zaczekać do jutra — zauważyłem — dziś już tak ciemno, że nic nie wyczytasz.

— W grocie jest dużo suchych ziół — powiedział Eg-Antuen. — Zapali się je i będzie widno, jak w dzień, tak, że kapitan odczyta napisy.

— A wielbłądy? — zauważyłem jeszcze.

— Zaczekają tu na nas, powrócimy przecie rychło.

Morhange spieszył do grot bardzo wzruszony. Ja szedłem za nim z uczuciem dziwnie przykrem. „Nie boję się", powtarzałem sobie w duchu, „przysięgam, że się nie boję", ale w uszach mi szumiało, przed oczyma latały czarne płatki; słyszałem, jak przez sen, gardłowy głos Berbera, który śpiewał: „Ale siódma jest chłopcem, co utracił oko".

niusze. Nie krępujcie się przyjaciele. Zobaczę ich zbliska, obaczę, czy wyglądają istotnie tak, jak ich opisywał Morhange, czy mają głowę na piersiach i rogi na czole. Nic podobnego. Rosłe draby w białych burnusach. Porywają mnie i wynoszą z groty.

Bardzo dobrze, duszno tu nieznośnie. Nie chcę tylko, by zapomnieli Morhanga. Nie zapomnieli go, nie, niosą go również i wsadzają na obu na grzbiet wielbłąda. Dobrze że nas przywiązano, inaczej nie utrzymalibyśmy się o własnych siłach. A teraz jedziemy pod otwartem niebem, widać gwiazdy. I znowu ciemny, jak gdybyśmy jechali przez długi, długi korytarz — tak ciągle na zmianę, jak długo jeszcze trwać będzie ten śmieszny pochód. A teraz światło nad głowami naszemi. Nie gwiazdy już lecz lampa, turecka lampa mosiężna, całkiem taka, jaką widziałem w Tunie.

Spać i tak mi się już spać chce. Wyborna rzecz, że położono mię na miękkiej, wygodnej sofie. Poco wiążecie mnie panowie? nie mam wcale zamiaru umykać, ani mi się śni o tem. A teraz cisza tylko, gdzieś o ścianę słychać jakieś głosy. Czy mnie słuch myli? Ruleta! Ktoś woła:

— Zaczynamy panowie, bank dziesięć tysięcy ludorów. Zaczynajmy grę.

— Czy jesteśmy w Monte Carlo?

To była ostatnia myśl świadoma, poczem zapadłem w głęboki sen.

ROZDZIAŁ XII.

PRZEBUDZENIE.

Był już jasny dzień, gdy otworzyłem oczy. Pomyślałem natychmiast o moim towarzyszu i zawołałem go po imieniu, Morhange nadbiegł zaraz, ja zaś nie mogłem się ruszyć mając jeszcze ręce i nogi skrępowane.

— Więc ciebie nie związano? — spytałem go.

— Owszem, byłem także skrępowany, ale nie zbyt mocno, więc udało mi się zdjąć więzy.

— Czemużeś mnie nie rozwiązał? — spytałem z urazą.

— Poco? byłbym cię zbudził, a wiedziałem, że i tak zawołasz na mnie, skoro przyjdziesz do siebie.

Mówiąc to, oswobodził mnie z okowów, lecz skoro się podniosłem, zachwiałem się na nogach, czując jeszcze zamęt w głowie.

Morhange uśmiechnął się.

— Ładnie wyglądamy, jak po przepitej nocy. Ten łajdak Eg-Antuen odurzył nas umyślnie. Podły łotr.

— Seger-ben-Szeik — poprawiłem go.

Przesunąłem ręką po czole.

— Gdzie jesteśmy?

— To samo pytanie zadaję sobie od chwili, w której przebudziłem się z narkotycznego snu — rzekł na to Morhange. — Co za przygoda? istna baśń arabska, ale rozejrzyj się teraz i sam osądź.

Powiodłem dokoła wzrokiem i przetarłem oczy.

— Morhange! przyjacielu! powiedz, czy mi się nie śni? — pytałem, cisnąc go mocno za rękę.

Znajdowaliśmy się w wielkiej okrągłej sali, mającej conajmniej 50 stóp średnicy i tyleż wysokości. Sala ta oświecona była tylko jednem, olbrzymiem oknem, otwierającem się bezpośrednio na czysty lazur niebios. Pospieszyłem do tego okna pociągnięty falą światła i rzeźwości, która płynęła przez nie i przekonałem się, że jest to balkon, zawisły na znacznej wysokości, z którego rostacza się nieporównany, czarodziejski widok.

Oparty o balustradę, patrzyłem ze zdumieniem.

Przedemną, tam na dole, leżał prawdziwy raj ziemski, zielony raj, gdzie smukłe palmy kołysały miękko swe rozszczepione liście, a u stóp ich tuliły się przeróżne mniejsze drzewa południowej flory, migdały, cytryny, pomarańcze i wiele innych, które słabiej rozróżniałem z mej wysokości. W środku lśniło przeźroczyste jezioro, do którego wpadały fale błękitnego strumienia, który wił się niebieską wstęgą między drzewami. U góry krążyły wesołym lotem rzadkie barwiste ptaki, na szybie jeziora odróżniłem zdaleka różową plamę flaminga. Przez okno, przy którem stałem, wlatywały, to wylatywały jaskółki z weso łym szelestem skrzydeł. Cały ten krajobraz otoczony był dokoła doskonale zamkniętym kręgiem strzelistych szczytów gór, okrytych przeważnie śniegiem.

To jezioro, strumyk, zielone palmy, złociste pomarańcze i ptaki barwiste, które fruwały dokoła, składały się na tak czarowną całość, że nie oparłem się wrażeniu i oparty o balustradę zalkałem, jak dziecko.

Morhange oswoił się już był przedtem z tymi cudami, których fantastyczny zespół przytłaczał mnie.

Położył mi rękę na ramieniu, nakłaniając, bym odstąpił od okna.

prowadzących do pokoju, gdzie był umieszczony mój ordynans Wojciech, stała ogromna konsola z lustrem, a na niej wielkie dwa kandelabry bronzowe. Gdym się tam rozlokował, już zmrok zapadał, kazałem zapalić światło; jakoż zapalono świece w tych właśnie kandelabrach. Ordynansowi kazałem nastawić samowar i podać sobie fajkę i wody do umycia.

Istotnie przyniósł mi fajkę, którą zapaliłem i rozsiadłem się w fotelu wygodnie, oczekując na wodę do mycia i samowar.

Fotel mój był ustawiony tyłem do drzwi wchodowych, tak, że wprost naprzeciwko miałem przed sobą lustro nad konsolą, oświecone świecami w kandelabrach.

Znużony pochodem, nie spostrzegłem się, kiedy w wygodnym fotelu zasnąłem. Gdy się ocknąłem, spostrzegłem kopcące się świece w kandelabrach i oprócz dwóch krucic, które wyjąwszy z kieszeni, położyłem przed sobą, zupełnie pokój pusty.

Zacząłem gniewnie wołać ordynansa i gromić go, że nie podał dotąd ani wody, ani samowara; kazałem świecę objaśnić i podać nową fajkę. Ordynans szybko podał i zapalił fajkę, a wypadł po wodę i samowar. Sądziłem, że powinien się zjawić niezwłocznie z powrotem. Tymczasem wypaliłem znów całą fajkę, a ordynans nie wrócił. Przyszedł oficer z raportem i po rozkazy. Poprosiłem go, ażeby ordynansa przynaglił i przyszedł sam z kolegami na herbatę i posiłek. Czekałem znów pół godziny, lecz ani ordynansa, ani oficerów widać nie było.

Wokoło panowała grobowa cisza. Rozgniewany taką opieszałością, zacząłem coraz głośniej wołać na Wojciecha, dodając mu coraz dobitniejsze żołnierskie epitety. Wtem słyszę, że drzwi się otwierają i sądząc, że to Wojciech, rzucam mu przez ramię:

— Cóż do stu dyabłów, nie podasz mi dzisiaj tej wody do umycia i samowaru.

Usłyszałem wychodzącą osobę i zamknięcie drzwi.

Za chwilkę usłyszałem znów otwierające się drzwi i jakby stuknięcie naczynia metalowego. Podniosłem głowę i zobaczyłem naprzeciw w lustrze kobietę pięknej postawy, w czarnej sukni, białym kwefie, spuszczonym na czoło, trzymającą w rękach srebrną, dużą, owalną miednicę i przewieszony długi ręcznik przez rękę. Sądząc, że ktoś z domowników, słysząc moje wołania, chciał mi usłużyć, zerwałem się z fotelu i poskoczyłem z komplementem do pięknej pani, chcąc wziąść z jej rąk miednicę. Jakiejż jednak było moje przerażenie, gdy ta osoba, wyciągając do mnie ręce z miednicą, podniosła głowę z pod kwefu, ukazała się biała, trupia głowa, zaś w miednicy czerwona, spieniona, jakby świeżo wytoczona krew. W pierwszym momencie porwałem za krucicę i wypaliłem do widma, równocześnie jednak z hukiem wystrzału upadłem i straciłem przytomność.

Z brzaskiem dnia, gdy nikt z pałacu nie wychodził, marsz zaś naznaczony był na wschód słońca — wszedł wachmistrz po rozkazy.

W pierwszym pokoju zastał ordynansa, rozciągniętego nawpół rozpakowanym tłumoku, a obok oficera, przewieszonego przez poręcz kanapy, — mnie zaś z krucicą w ręku, leżącego na wznak na podłodze, a koło drzwi kałużę krwi. Przerażony, wpadł do oficerów, których jeszcze było czterech, śpiących po drugiej stronie. Zastał ich śpiących w butach i w mundurach pokotem na posadzce. Gdy ich dobudził, zaczęto nas trzeźwić. Zrobił się gwałt i rozruch wszędzie, nadbiegł rządca, ludzie i żołnierze. Gdym przyszedł do siebie, zacząłem sprawy dociekać i śledztwo to utwierdziło mnie w tem, że rządca miał najzupełniejszą racyę. Ordynans opowiadał, że gdy tylko zciemniło się, zaczął rozpakowywać bagaże, ażeby dobyć miednice i samowar, taki jednak jakiś nieprzeparty objął go sen, że sam nie wie, kiedy usnął. Gdy go oficer obudził, zerwał się i chciał wybiedz po wodę. Lecz otwarły się drzwi i ukazała się im ta sama dama, którą i ja widziałem. Ponadto już nic obydwaj nie wiedzieli, co się z nimi działo. Oficerowie, kwaterujący naprzeciw, nic wprawdzie nie zauważyli, nie mogą jednak sobie wytłómaczyć, w jaki sposób poprzewracali się i zasnęli na podłodze. **H. Ml.**

Potrzeba kobiet
do roznoszenia dziennika.
Wiadomość: Administracya „Gońca“ Karmelicka 16.

Wykrycie spisku bolszewickiego w Anglii.

Miss Pankhurst posądzona o propagandę bolszewicką. — Tajemnicza wizyta 18-letniego młodzieńca o złotych włosach i oczach niebieskich. — Władze angielskie nikogo nie aresztują, albowiem nie wierzą w angielski bolszewizm.

Kraków, 17 sierpnia.

(?) Przed pięcioma dniami donieśliśmy już w telegramach o wykryciu przez policyę londyńską licznych dokumentów i fotografii, stwierdzających **istnienie w Angili szeroko rozgałęzionego spisku bolszewickiego.** Obecnie możemy za dziennikami paryskimi przytoczyć ustęp z programu „sowietu“ robotników w Clyde. Główne punkty tego programu brzmią jak następuje:

„Rozbrojenie wszystkich żołnierzy, **nie należących do proletaryatu,** uzbrojenie i **wciągnięcie całej ludności robotniczej w szeregi armii czerwonej. Zniesienie parlamentu** i rad municypalnych, które mają być zastąpione przez **rady robotnicze.** Zniesienie wszelkich różnic klasowych, tytułów szlacheckich, orderów i proklamowanie równouprawnienia socyalnego obu płci. **Zredukowanie dnia roboczego do 6 godzin, z wynagrodzeniem minimalnem 175 fr. tygodniowo. Konfiskata wszystkich dóbr koronnych na rzecz proletaryatu. Wywłaszczenie wszystkich dóbr, własności, funduszów, depozytów i papierów wartościowych,** należących do kapitalistów. **Wywłaszczenie banków, kopalń, zakładów przemysłowych i handlowych.** Komitet republikański weźmie w posiadanie wszelkie środki komunikacyjne i transportowe“.

Dokument ten kończy się apelem następującym:

„Niech żyje rewolucya i armia czerwona Wielkiej Brytanii!“

Jak twierdzą, na tę propagandę bolszewicką miała otrzymać znana pacyfistka, Sylwia Pankhurst, 6000 funtów szterl. od niejakiego Zachariassena, rodem z Norwegii.

W rozmowie ze współpracownikiem „Daily Mail“, miss Sylwia Pankhurst nie zaprzeczyła bynajmniej, że osobnik tego nazwiska i pochodzenia złożył jej przed trzema tygodniami wizytę oraz oświadczyła, że był to **młodzieniaszek lat 18-tu, o złotym odcieniu blond włosów, cerze różowej i oczach niebieskich,** ale zaprzeczyła, jakoby brała od niego jakieś dokumenty lub pieniądze.

Znana z flegmy policya angielska nikogo jeszcze nie aresztowała, ponieważ sądzi, że spisek o którym mowa, jest prostym wynikiem wojny, nie zaś skutkiem propagandy bolszewickiej.

Z doli artysty polskiego na wygnaniu.

NA KAERTNERSTRASSE.

Godzina 11 w nocy. Kawiarnie i lokale zamknięto i goście kawiarniani przewalają się burzliwą falą po ulicy.

— Kaertnerstrasse w Wiedniu...

Strojne kokoty, rzucające błyskotliwe spojrzenia na mężczyzn, oficerowie cudzoziemscy, okrzyki spóźnionych kolporterów, wycia i śpiewy...

U rogu Kaertnerstrasse wielka gromada ludzi, słychać wyzwiska, puste żarty, humor przejawia się „typowo wiedeński“...

Na ścianach jednej z kamienic powywieszane są obrazy, obok nich stoi mężczyzna wielkiego wzrostu, o długich włosach, o szerokim „borsalino“ kapeluszu.

Smutku pełne są jego oczy, patrzy tak dziwnie na otaczających go ludzi, — on, cygan-artysta twory swego ducha na rynek w tę noc wyniósł, może głód go zmusił do tego...

Patrzą w te obrazy podchmieleni synowie naddunajskiego miasta i z ust ich banalne wychodzą słowa.

Żartują, kpią, z wyniosłością „zdrowych ludzi“ patrzą w artystę...

— Psiakrew! Psiakrew! — zaklął naraz artysta, chwycił nerwowo obrazy, zebrał je razem, z pogardą spojrzał w tłum i znikł gdzieś w zakręcie ciemnej uliczki...

— — — — — — — — —

Żyło we mnie to jedno jego słowo, polskie słowo, może nie piękne, nie salonowe, ale jakże mu z duszy zbolałej wyrwane...

Pobiegłem za nim, widziałem, jak szybkim, nerwowym krokiem idąc, ściskał kurczowo obrazy pod pachą, przemijając puste ulice. Przystąpiłem do niego, pytając:

— Pan Polak?

Przystanął. Spojrzał na mnie dobremi, smutnemi, załzawionemi oczami i rzekł:

— Tak jest, Polakiem jestem...

I niedługo trwało, a poznałem tragedyę tego człowieka.

Julian Dembiński...
Artysta-malarz polski...
Na wygnaniu — wśród obcych...
Trawiony nędzą i tęsknotą...
Przybity czarną niedolą...
Artysta polski... „Głos Wiedeński“.

KINEMATOGRAF.

Dwa okna.

Jeden z ostatnich domów na peryferyi miasta. Jedno piętro, jedna brama, dwa okna, partyi co najmniej dziesięć: dwie z frontu (każda po jednem oknie) reszta od tyłu.—Klucz od bramy u gospodyni. (Uprasza się zastukać trzy razy, bo dzwonek zepsuty. Węgle należy nosić od tyłu, pomyj przez okna nie wylewać!...

Okna frontowe umieszczone tak blisko, że sąsiedzi mogliby na upartego podać sobie ręce albo bić się po fizyonomiach.

W tej chwili jedno okno zajęte. Mało powiedzieć: zajęte, raczej zastawione, zabarykadowane. Siedzi w niem korpulentna osóbka w białym kaftaniku wypełnionym tuszą do ostatnich granic, na tej tuszy znajduje się olbrzymi kłęb poburzonych włosów, wśród których spostrzegamy nos, usta, przy bliższej obserwacyi i oczy, skierowane obecnie z okna na ulicę.

Właścicielka tych wszystkich akcesoryów monologuje. Przynajmniej tak zdawaćby się mogło przechodzącemu ulicą, ale właściwie tak nie jest. W „stancyi“ jest jeszcze mąż, czworo śpiących dzieci i babka mówiąca wieczorne pacierze zasłonięci plecami matki rodu.

— Patrzcie no państwo! ale ta się „zestroiła“! — mówi matka rodu w oknie. — Chodzino-tu Kubuś... Zobaczysz co za kapelusz, a szal fiu! fiu!... Ktoby nie widział!... A kiecka ino jej się koło nogów majda!... Chodzino-tu Kubuś! Musisz mi taką kupić, bo mnie szlag trafi!...

— E! ty ino zawsze wszystko obiecujesz! — mamrocze Kubuś szperający coś po garnkach na kuchni.

— Niby wskróś czego obiecuję? — pyta połowica nie odwracając się od okna.

— Ano wskróś tego szlagu!... Gdyby cię miał trafić jak mówisz, toby trafił już tamtego roku, kiedy szewcowa kupiła se bluzkę w niebieskie ciapki!

— Żal ci że żyję, dobry z ciebie mąż.

— Żal, nie żal, ale ja to zawsze dotrzymam co obiecuję.

— O! weszła teraz w bramę! — mówi kobieta — Kubuś, a nic wyjedz tam wszystkich ziemniaków!

Poczem obracając się do pokoju:

— Kubuś! już wlazła w swoje okno. Już się będzie ludziom przekrzywiać w tym nowym szalu, co go kupiła na tandecie!... Dobry wieczór pani sąsiadce!... A gdzie to pani chodziła.

Okno drugie: Ja nie chodziłam, moja pani — ja jechałam tramwajem.

Okno pierwsze: O! i ja jeżdżę czasem tramwajem!... To bardzo przyjemnie!...

Okno drugie: Byłam w kinie na „Monte Christo“, bardzo smutny dramat.

Okno pierwsze: Ja byłam na jeszcze smutniejszym: „Skradzione serce“. Powiadam pani, że płakałam. bo ja mam bardzo miękki charakter.

O. drugie: Ale z pewnością nie taki jak mój!... Ja jestem sercowa, w mojej famielii są same sercowe osoby.

O. pierwsze: O, to nic jeszcze!... Mój wuj był taki sercowy, że umarł na rupturę!... Ja też po nim odziedziczyłam taki smutny charakter!... Ale dlaczego pani siedzi w oknie i nie zdejmie kapelusza ani szala?

O. drugie: A niech się tam trochę przewietrzy gardroba!...

Kobieta w oknie pierwszem odwraca się do pokoju:

— Kubuś! daj no mi szal. Cóż sobie ta żmija myśli, że tylko ona ma co wdziać na siebie?... Daj mi kapelusz!... A to dobre. Niech ma respekt przedemną jak się patrzy!

Okno drugie: O! pani już chłodno?

O. pierwsze (w szalu i kapeluszu): Tak, moja pani! to szal bardzo ciepły prawdziwy turecki!... Dostałam go od mego męża na imieniny. Jego stać na to, a kocha mnie, że mnie nieraz już choroba bierze! Prawda Kubuś?... Pani, on i do miasta pójdzie i zna się na wszystkiem, on i mięsa kupi do domu i jaja znosi!

O. drugie: A cóż to za dziwny chłop, co jaja znosi!... Ja mam od tego dwie kury.

O. pierwsze: Nie bądź no pani taka przyścipna!... Nie widział nikt kury!... My tamtego miesiąca zjedliśmy we trzy dni całą kurę!...

Obydwie sąsiadki zacietrzewiały się coraz bardziej. Jedna nie chciała ustąpić drugiej. Niezadługo siedziały obie w swych oknach z parasolkami. Jedna z nich złożyła nawet uroczyste oświadczenie, że ma w komodzie zegarek, tylko jej się szukać nie chce. Druga twierdziła tosamo o branzolecie.

Tymczasem zaczęło się chmurzyć — Kubuś zjadł wszystkie ziemniaki... I była burza — tak na niebie jak i na ziemi, aż babka żegnała się i powtarzała: „Od wszystkiego złego..." **Kruk.**

Zapowiedź zajęcia plonów rolniczych i węgla w całym świecie

Tylko w ten sposób usunie się wzajemną konkurencyę poszczególnych państw. — Plony rolnicze i węgiel rozdzielone będą sprawiedliwie między najbardziej potrzebującymi. — O przyszłości Śląska cieszyńskiego i Górnego zadecyduje górnik polski.

Konferencya p. Hoovera z przedstawicielami prasy krakowskiej.

Kraków, 18 sierpnia.

Wczoraj o godz. 6 wiecz. odbyła się w Delegaturze konferencya, mająca na celu bliższe poinformowanie prasy krakowskiej o celach powołania do ycia **Najwyższej Rady Żywnościowej, która ma zająć plony rolnicze oraz węgiel na całym świecie, aby je rozdzielać sprawiedliwie pomiędzy narody, wszystkie obecnie cierpiące z powodu braków aprowizacyjnych.** Tego rodzaju organizacya wszechświatowa **ma zapobiedz konkurencyi nabywców, wytwarzającej zwyżkę cen.**

Zdarzyć się bowiem może, że np. do jednego z państw zamorskich, produkującego wielkie ilości zboża **zgłosi się równocześnie wiele państw europejskich, które będą chciały zakupić tę produkcyę. Każde z tych państw licytowałoby się wzajemnie w cenie.** Najwyższa Rada gospodarcza zajmując zboże na całym świecie, usunie tę konkurencyę, **oznaczy nizkie ceny zboża, którem obdzieli wszystkich sprawiedliwie.** Podobnie będzie z innymi produktami rolnymi oraz z węglem.

W międzynarod. komisyi tej Polska będzie reprezentowaną. P. Hoover, jak oświadczył, czuwać będzie nad tem, by interesy polskie były należycie uwzględnione. Przemówienie, wygłoszone do dziennikarzy, przełożył na język polski ks. Kazimierz Lubomirski, poczem przedstawiciele pism krakowskich zadali p. Hooverowi kilka pytań, odnoszących się do spraw zaopatrzenia Polski w węgiel oraz dostarczenia środków przewozowych. Odnośnie do środków przewozowych, p. Hoover oświadczył, że do oPlski wysiano już pewną ilość wagonów i parowozów, choć wszystkie kraje obecnie mają pod względem środków transportowych wielkie braki, a **produkcya nie może nadążyć zużyciu,** mimo tego ma nadzieję, że Ameryka i pod tym względem będzie mogła przyjść Polsce z pomocą. P. Hoover podniósł wielkie znaczenie prasy dla społeczeństwa, państwa i rządu. W Ameryce prasa jest pośrednim łącznikiem, wiążącym społeczeństwo z rządem. Przypuszcza on, że polska prasa obejmie tę samą rolę. P. Hoover wyraził przekonanie, że naród polski wyszedł cało z tylu niebezpieczeństw politycznych, zdoła przezwyciężyć także trudności gospodarcze i aprowizacyjne. Na temat produkcyi węgla oświadczył p. Hoover, że naogół w Polsce produkcya zwiększyła się, gorzej przedstawia się sprawa w terytoryach o niezdecydowanej przynależności państwowej, a więc na Górnym Śląsku i w zagłębiu ostrawsko-karwińskim. P. Hoover apeluje do górnika polskiego, tam zajętego, by pracował intenzywnie bez obaw, że wysiłki jego nie będą z korzyśicą dla Polski. **Praca robotnika polskiego może być właśnie czynnikiem rozstrzygającym, który będzie miał decydujące znaczenie w sprawie losu tym ziem.**

Odjazd p. Hoovera i p. Paderewskich.

Wczoraj wieczorem dał delegat Biesiadecki objad na 24 nakrycia. Do stołu zasiedli komisarz żywnościowy Herbert Hoover, prez. min. Paderewski z małżonką, minister Biliński i min. Seyda, świta p. Hoovera wśród niej sekretarz p. Hoovera Taft, syn byłego prez. Stanów Zjednoczonych, generalicya wojsk polskich, prezydyum miasta itd.

Po objeździe pan Hoover udał się w towarzystwie Ign. Paderewskiego na krótką chwilę do teatru. Przedstawiano operę Walewskiego „Dola". Panu Hooverowi, który obok Paderewskiego zajął miejsce w loży, **zgotowała publiczność owacyę,** a orkiestra odegrała „Jeszcze Polska nie zginęła".

Wieczorem odjechał p. Hoover do Paryża, żegnany na dworcu przez prezydyum miasta, generalicyę, delegata Biesiadeckiego, prezydyum miasta itd.

Minister skarbu Biliński odjechał wieczorem do Warszawy wraz z szefem prezydyum Mikuleckim.

Państwo Paderewscy odjechali wieczorem do Warszawy.

P. Hoover zapowiada ponowny przyjazd do Krakowa.

Jak się dowiadujemy, architektura Krakowa zrobiła **bardzo silne wrażenie na Hooverze.** Wyraził się o zabytkach Krakowa entuzyastycznie, a zarazem przedstawiciel „Associated Press" zapowiedział, że na widok architektonicznych zabytków Krakowa musi przyjechać tu i specyalnie zwiedzić Kraków. Również p. Hoover oświadczył, że po przesileniu przybędzie do Krakowa, aby specyalnie oglądnąć zabytki Krakowa.

Wyrok śmierci na morderczynię.

Lwow. (PAT.). Przez dwa dni toczyła się tutaj rozprawa o zamordowanie stróżowej Cześnikowej. Została ona zastrzelona przez dwie siostry Adelę i Malwinę Suppan. **Po rozprawie trybunał zasądził na karę śmierci Adelę Suppan, tę która strzeliła z rewolweru dużego kalibru do Cześnikowej, natomiast siostrę jej Malwinę uwolnił od winy.**

Najwspanialsze arcydzieło współczesne

MATER DOLOROSA

imponujący dramat w 4 aktach ze słynną gwiazdą francuską **Emmą Lynn,** wystawia obecnie z niebywałym sukcesem

Kinoteatr „SZTUKA"

Hotel Saski, ul. św. Jana 6.

Programu dopełnia przewyborna, pełna bajecznego humoru komedya

Prince dzieckiem szczęścia

z niezrównanym **Morycem** w roli naczelnej,

Co dobre nie trwa długo — to też spieszmy ujrzeć film

Jedynaczka króla smalcu

wyświetlany w „Uciesze". Jest to unikat w swoim rodzaju. Pogodny, szczery wybuch śmiechu wita każdą nową scenę. Ulubienica publiczności **OSSI OSWALDA** pociąga niezrównaną grą, a partnerzy jej **HARRY LIDTKIE i WIKTOR JANSEN** tworzą zespół wyjątkowy i niezapomniany.

Kupujcie Polską Pożyczkę Państwową!

Chwila bieżąca.

Kalendarzyk.

Sw. Heleny

Wschód słońca 5·08

Zachód słońca 7·38

Długość dnia 14·55

Poniedz. 18 sierpnia

—o—

TAJEMNICE SAHARY. Do nru dzisiejszego dołączamy arkusz 6-ty senzacyjnej powieści Piotra Benoit **„Tajemnice Sahary".**

Nowi Czytelnicy „Gonca Krakowskiego" otrzymają początkowe arkusze tej powieści po nadesłaniu 80 h na koszta przesyłki.

PIĘĆ MILIONÓW MAREK W ZŁOCIE NA SKARB POLSKI. Wydział skarbu narodowego przy polskiej kasie pożyczkowej ogłasza zestawienie ofiar, jakie złożono do tej pory na skarb Polski. Na cel ten złożono do 30 czerwca b. r. 5.483.455 marek w złocie, a 19,247.641 marek w srebrze. Ponadto złożono na ten cel większe sumy w złocie i srebrze w monecie innych państw, a także liczne przedmioty artystyczne. Ofiary przechowują się w Polskiej Kasie pożyczkowej i stanowić będą fundusz zakładowy Banku Polskiego.

RAUT „NOC WENECKA", urządzony przez szpital okręg. i Koło VI T. S. L. w sobotę 16 bm. zgromadził liczną doborową publiczność. Z wojskowości przybyli generałowie: Castellaz z armii gen. Hallera, Symon, Stiller Zygadłowicz, Piasecki i Zapałowicz. Przedstawiciele armii koalicyjnych i wielu oficerów, dalej pp. gener. Gąsiecka, Stillerowa, prof. Wodzinowski, Męcina, Kazesz i inni. Sala udekorowana z przepychem przedstawiała niezwykły malowniczy widok. Również cały budynek kasyna przybrany był z artystycznym smakiem, czemu wielce się przyczynił p. podpor. Rudnicki, pod którego kierunkiem dekoracyę robiono. Część koncertową rozpoczęła deklamacya p. Jadwigi Korwin, która z niezrównanym wdziękiem i uczuciem wygłosiła poezye Słowackiego i Staffa. P. Wanda Hendrichówna i p. Romanowski odśpiewali swemi pięknemi głosami kilka pieśni. Śpiewał również bardzo ładnie p. Orwicz. Wszystkich wykonawców hucznie oklaskiwano i zmuszano do naddatków. Raut pod względem dobrego smaku i dystynkcyi wysunął się na pierwszy plan w szeregu innych urządzanych często w ostatnich czasach. Około urządzenia rautu krzątały się panie: gen. Zielińska, dr. Nieciówna, red. Szczepańska, Groelowa i Jordaens oraz panowie: major Olszewski, dr Skulski i poruczniczy: Zasacki, Krotowski, Stubla i i. Tańce prowadzone przez niezrównanego wodzireja p. dra Pollaka, wypadły znakomicie. — Publiczność opuszczała raut dopiero o godz. 7 rano, unosząc jak najmilsze wrażenie.

POGŁOSKI O ZAMACHU W KRAKOWIE. Na tle braku żywności w Krakowie krążyły w mieście pogłoski o zamachu, rzekomo projektowanym w dniu wczorajszym na jednego z wybitniejszych reprezentantów gminy. W sprawie tej prowadzą śledztwo władze policyjne.

GEN. IWASZKIEWICZ WE LWOWIE. — Wczoraj bawił we Lwowie w przejeździe gen. Iwaszkiewicz który przybył z Brzeżan automobilem.

WALKA Z EPIDEMICZNEMI CHOROBAMI. Do Warszawy udaje się z Paryża międzysojusznicza misya lekarska celem studyowania tyfusu oraz innych chorób epidemicznych, aby przeszkodzić rozszerzaniu się tychże po Europie zachodniej. Członkami misyi są: amerykański pułkownik Cumming, lekarz francuski dr Bisberg, angielski doktór Buchanan, włoski doktór Castellani.

„GŁOS POLSKI" donosi: Z końcem przyszłego tygodnia odchodzi z Łodzi transport towarów manufakturowych, przeważnie pluszowych do południowej Rosyi (obszar Denikina). Dla transportu przeznaczony będzie specyalny pociąg, któremu towarzyszyć będą urzędnicy ministerstwa oraz zainteresowani fabrykanci i kupcy. Transport idzie przez Rumunię. Towar przedstawia wartość 25 milionów rubli i będzie wymieniony na surowce które przybędą tą samą drogą do Łodzi.

ZE SPORTU. Cracowia B rozegrała w piątek zawody z tut. „Jutrzenką", wychodząc z nierozegraną 1 : 1. — W niedzielę grała drużyna Cracovii nieco lepiej, lecz w każdym razie nie osiągnęła tego poziomu, na którym ją dotąd widywaliśmy. „Tarnovia", niedzielny przeciwnik białoczerwonych rozporządzała ludźmi fizycznie bardz silnymi, lecz nie posiadającymi odpowiedniego trenningu. Uwidoczniło się to w drugiej połowie gry w zupełnej przewadze graczy krakowskich nad tarnowskimi, dając rezultat po pauzie 3 : 0, a ostateczny wynik 4 : 0 na korzyść „Cracovii" B. Nie możemy pominąć milczeniem niekarności drużyny tarnowskiej, tem więcej, że nie składa się ze zbyt młodocianych graczy, lecz w znacznej mierze z mężczyzn w całem tego słowa naczeniu.

Wydawca: W zastępstwie Spółki Wydawniczej „Editor" Jerzy Konarski. — Redaktor odpow.: Jan Stankiewicz.— Druk. Ludowa w Krakowie.